

KAZIMIERZ POLLACK.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Lękliwie, nieśmiało zbliżała się do wrót cmentarza jedną jeno wiedzioną myślą podniosłą — myślą pomodlenia się nad grobem tej, której życie zawdzięczała, a której znać nie było jej dane.

Była sierotą.

W trzecim dniu niemowlęstwa swego straciła matkę, która do mogiły uniosła ból serdeczny, że dziecku nazwiska ojca zapewnić nie może, oraz tajemnicę, kim był, jak się nazywał.

Matkę złożono na tym oto cmentarzu, do którego się zbliżała, a ją wywieziono do dużego miasta, do obcych ludzi, którzy jej rodziców zastępować mieli.

Dobrzy ludzie!...

Wykarmili, wychowali w dostatkach, dobrocią darzyli, nauki nie skąpili.

A gdy mała Zosia, imieniem matki nazwana, na ładnego wyrosła podlotka, gdy szesnastą wiosnę życia skończyła — na nową, bardziej samodzielną, pełną niebezpieczeństw drogę życia dano jej tarczę, która ją chronić przed złem miała: opiekunowie przedstawili całą prawdę jej pochodzenia — powiedzieli wszystko, wszystko...

I oto dziś — w dzień zaduszy, w dzień święta umarłych — po szesnastu latach znalazła się Zofia w miejscu swego urodzenia, w nieznanym miasteczku na nieznanym cmentarzu, który wśród setek, tysięcy swych mogił miał zawierać jedną ze smiertelnych szczątkami jej rodzicielki, w sercu młodej dziewczyny odzyskanej.

Lecz tu ją żal ogarnął i ból sercem targnął...

Na spowitych w gęstą opończę srebrnosiniej mgły mogiłach tysiącem świateł jarzyły się lampki, setki ludzi, w modlitwie pogrążonych, klęczyli u stóp krzyży i pomników i duszą wznosiły się do Boga, a ona — ona jedna — stała tu bezradna, beznadziejna, płaczu bliska — bo matki grobu nie знаła, a więc znaleźć nie mogła.

Wprawdzie mogła się była zapytać ludzi starszych, miejscowych, służby cmentarnej — nie śmiała jednak... A nużby ten, coby mogiłę wskazał, chciał przypomnieć smutną historię jej powstania, a nużby kto spojrzeniem wzgardy pełnem ją obrzucił, a pamięci matki przykrem jakimś słowem uchybił, a nużby ją o ojca zapytał, a nużby... i tem rumieniec wstydu zbudził na jej licach...

Przechodziła koło dziadów cmentarnych po kilkakroć i nie mogła zdobyć się na odwagę, nie mogła się przemódz, a im więcej do myślenia o swej doli zmuszała się w ten sposób — tem bardziej sieroctwo swe odczuwała. Bocznymi ścieżkami przebiegała cmentarz, unikając spojrzeń ludzi, bo zdawało jej się, że z ócz ludzkich pogarda ku niej wyziera, że palcami ją wytykają, że na jej widok szepczą:

— O! to ta!... to ta... ta... ta!...

I jeszcze okropniejszy ból targał jej serce, bo tem większe czuła opuszczenie, osamotnienie, tem większą niedolę, że nawet skarżyć się nie mogła tak, jako ci pochyleni nad mogiłami najbliższych i najdroższych, w modlitwie otuchę znajdujący.

Oczyrna łez pełnemi szukała mogiłki jak najbiedniejszej, jak najskromniejszej — takiej zaniedbanej zupełnie, bo taką w wyobraźni swej widziała mogiłę opuszczonej przez wszystkich matki.

Lecz choć wiele takich mogił było, wszystkie w dniu tym opiekuńcze jakieś dłonie przyozdobiły mniej lub więcej skromnymi wianuszkami — na wszystkich wyciśnięte było pętno pamięci...

Jedynie hen — hen — na skraju cmentarza pod murem, ze starości omszałym, znalazła kilka takich mogiłek, zapadniętych, z darnią czerniałą, z pochylonemi spróchniałymi krzyżami.

Nad jedną z nich, najuboższą, najskromniejszą, tablicy pozbawioną, klęka cicho i, twarz w dłonie ukrywając, gorąco modlić się zaczęła. A wraz z modlitwą, pogodnie poczęta, wstąpiła do duszy dziewczyny otucha, serce raźniej, swobodniej zabiło, a oczy, w mogiłę utkwione, blaskiem szczęścia wypogodniały. Zaszuchana w szept własnej modlitwy,

której słowa echo wraz z ptasząt świergotem i że smętnie zawodzącym poszumem wichru niosło — hen — hen — wznosiła się myślą ku górze, ku niebu, jakby tam ujrzeć się spodziewała tę, której nie znała, a na której wspomnienie obudziła się w niej miłość dziecka dla rodzicielki, cześć dla jej imienia niepokalanie czysta, tęsknota ku niezaznanej jej pieśczości i dobroci. Zatopiona we własnych myślach, natchniona jakby i wirem ukojenia i zapomnienia porwana, nieruchomo długo pozostawała na klęczkach, nie — zda się — nie widząc wokół siebie i na nikogo nie zwracając uwagi.

Gdy przestała się modlić słowami i w niemem ukojeniu pogrążyła się cała, szumu wichru jeno słuchając, który w wyobraźni jej tworzył podniosłe archanielskie hymny, tak harmonizujące ze stanem jej duszy, ulatującej w nieznane — hen — dale, o uszy jej obito się nazwisko matki...

Drgnęła... zrazu myślała, że to suggestya; gdy



jednak obejrzała się poza siebie, ujrzała dozorcę cmentarza, stojącego przed nią z poważnym siwującym już mężczyzną, który, nawiązując rozmowę do poprzednich słów dozorczy, pytał z naciskiem:

— Więc to napewno w tym grobie pochowano Zofię Zarzecką?

— Ależ napewno panie, przed szesnastu laty...

Zofia nie słyszała już nic więcej; oczy jej mgłą zasły, serce gwałtowniej zabiło, a w mózgu krwią nabiegłym powstała myśl:

— To ojciec!...

Lecz okrzyku tego wydać nie mogła. Wyczerpana z sił, dzwignęła się ostatnim wysiłkiem i z przeraźliwym spazmatycznym płaczem osunęła się opodal na sąsiednią mogiłę...

Chłodną, wilgotną ziemię w uścisku jakby objęła, wybuchając co chwila silniejszym atakiem spazmów.

Dozorca odszedł, wzruszywszy ramionami, a przyprowadzony przez niego mężczyzna, zmieszany tem dziwnem zachowaniem się młodej dziewczyny, zbliżył się ku niej troskliwie i rękę na rozpalonej główce położywszy, jął uspokajać płaczącą:

— Dziecko, dziecko moje!... Co tobie?... powiedz — co ci?...

Nie mogła zapanować nad sobą, nie mogła słowa wymówić...

— Dziecino! uspokuj się — powtarzał — uspokuj — proszę, błagam... dziecię!

— Dziecię! dziecię! powtórzyła za nim, by echo, usiłując powstrzymać się od płaczu, a lice jej dziwną zapalała radością.

Podniósł ją z ziemi, do piersi swej przycisnął, otulił ramionami i znów szeptał wzruszony, onieśmielony:

— Dziecko, dziecko moje...

— Więc tyś mój ojciec! — przerwała mu, uspokojona pozornie.

— Ojciec?...

— Więc tyś przyszedł — pytała dalej nie zwracając uwagi na pierwsze jego pomieszczenie, zdziwieniem upozorowane — więc tyś przyszedł na grób mojej biednej matki?

— Matki twojej?...

— Tak, wszak wymówiłeś jej nazwisko; jej i moje imię! Ojciec! ojciec mój, jaka ja szczęśliwa! — wołała rzucając mu się na szyję i znów płakać zaczęła — płakać łzami radości. — Ojciec! ojciec! nazwijże mnie córką swoją! — przez łzy błagała.

— Córkę moja! — powtórzył za nią głucho i w głęboką popadł zadumę: pozwolił się pieścić długo, długo w niemem uścisku.

A gdy przyszedł do siebie, gdy otrząsnął się z wrażenia, gdy ją uspokoił ostatecznie, wypytywać zaczął troskliwie, komu wychowanie i wykształcenie swe zawdzięcza. Wyznał jej, że i on po szesnastu latach niepamięci, wiedziony zbudzonym w duszy głosem poczucia winy i obowiązku, zjawił się dziś po raz pierwszy na tym cmentarzu na opuszczonym grobie tej, która mu najlepsze chwile w życiu miłością swą rozjaśniła, która dawała mu takie chwile radości, jakich nigdy później nie zaznał.

— Mów mi o matce mojej — błagała, tuląc się do niego — mów, ojciec, dużo, dobrze, dobrze mów o matce mojej, ojciec, ojciec! — powtarzała ten wyraz z dziecinna, niewinna radością.

I mówił: dobroć jej wychwalał, urodę z uwielbieniem opisywał, przymioty serca i ducha podnosił.

A dziewczyna, zaszuchana w drżenie głosu jego, z tem większym umiłowaniem zwracała oczy ku niemu.

I długo, długo nie milkła rozmowa.

Zaczęło się ściemniać! Cmentarz pustoszał, cichł, a tem samem w uroku swym potężniał, bo wśród tej ciszy, wśród tego zmierzchu zawodzący rzeźbnie wichr i te migocące światła miliony jednoczyły się w jeden wielki, ogromniejący z każdym akordem hymnu, który miasto umarłych w tajemną majestatyczną oblekał szatę...

— Ojciec! dobrze tu przy grobie matki — przerwała dłuższą chwilę milczenia dziewczyna — dobrze, lecz pójdźmy już, pójdźmy, bo tu wokoło straszno tak i ponuro...

— A gdzie mieszkasz? — zapytał.

— W tem mieście — nigdzie; przyjechałam tu dziś w południe sama, by wieczorem odjechać do opiekunów, lecz skoro ciebie odzyskałam, zabierzesz mnie, ojciec, ze sobą — nieprawdaż? zabierzesz — szeptała, wyciągając ku niemu dłonie, by znów go opleść w uścisku...

Lecz wyciągnięte ręce opadły nagle bezwładnie — mężczyzna zmienił się do niepoznania; na blade czoło jego występować zaczął pot kroplisty, nogi chwiał się pod nim poczęły, a drżące usta wyrzuciły słowa:]

— Nie możesz jechać ze mną!

— Czemu? wszak córka-m twa!

— Nie możesz! mam inne córki, mam inną żonę — nie możesz — mówił urywanym coraz przytłumionym głosem — toby mi spokój bardziej jeszcze zamąciło, a ja na grobie twej matki spokoju chciałem szukać, ukojenia, bo w domu, jaki sobie urządziłem, nie mam go, nie mam, niestety! — otuchy szukałem — nie nowych utrapień...

Zofia słuchała, jak odrętwiała, jakby nie zrozumiwała słów do niej zwróconych.